

André Pieyre de Mandiargues, *Szafa z księżycem*¹,
przeł. B. Banasiak, „Literatura na Świecie” 1992, nr 1, s. 232-240.

Juanowi Miró

Tak biała jest ziemia okolic Safary, tak białe są domy małego miasteczka pozbawionego wszelkiej aktywności poza rybołówstwem przybrzeżnym, tak zakurzone białym pyłem są drogi i uliczki, tak nieliczne drzewa i krzewy, z wyjątkiem kilku nędznie kwitnących i niemal pozbawionych liści oleandrów, że można by rzec, iż śmierć roztoczyła tutaj brutalnie swą podstawową barwę, życie zaś, przytłoczone ciemżycielskim reżimem, trwa jedynie w stanie niższym. Makabryczne Południe ma jednak urok dla wielu młodych wędrowców współczesnego świata, i dość osobliwy hotel, Pensjonat Minos, przyjmuje ich ponad biało-szarym, cuchnącym kwadratem, który jest targiem rybnym, ożywianym jedynie trzy razy w tygodniu przyjazdem ciężarówki zabierającej sardynki z przeznaczeniem dla okolicznych wytwórni konserw. Oba piętra Pensjonatu Minos otoczone są tarasem; żadna barierka nie broni posłużyć się nim w celu przejścia z pokoju do pokoju, zwłaszcza nocą, gdy upał zmusza do uchYLENIA drzwi balkonowych. Aż do nadejścia świtu młodzi pensjonariusze są poruszeni; ich ożywienie wzmaga jeszcze kilka gitar, potem ogarnia ich odrętwienie i śpią przez większą część dnia.

Czy Luc Laon skorzystał z tych ułatwień, by wślizgnąć się do klasztornej pokoiu, w którym, okryta jedynie cienkim prześcieradłem, leżała naga Barbara Bara czytając w świetle elektrycznego świecznika, stojącego na stoliku u wezglowia, obszerny zbiór rozważań moralnych opracowanych w siedemnastym wieku przez pewnego neapolitańskiego jezuitę? Czy wolumin zsunął się na białą posadzkę podłogi w następstwie niespodziewanego ruchu czytelniczki, gdy ujrzała obok siebie wysoką sylwetkę młodego mężczyzny, i czy dziewczyna wcisnęła się w małe łóżko, by pod prześcieradłem, które oblekało ją wszak od stóp po szyję, ukryć nagość ramion i barków? Czy nie odrywając wzroku od ust intruza słuchała w milczeniu Luca, który mówił z gorącym, pełnym szacunku uczuciem, jak dostrzegł ją, gdy w późnych godzinach jadła w refektarzu pensjonatu obiad, nie opodal niego, siedzącego przy stoliku w cieniu; jak obserwował ją podczas całego posiłku i jak urzekł go jasnoniebieski blask jej wielkich oczu na tle ciemnobrązowej opalenizny pod grzywką raczej blond niż kasztanowych włosów, spływających także na szeroki dekolt na plecach, gdy częstując się tłustą krewetką albo smażonym kurkiem czerwonym odwracała się w stronę stojącego po

¹ André Pieyre de Mandiargues, *Armoire de lune*, w: *idem, Mascarets*, Gallimard, Paris, 1971, s. 93-108.

lewej stronie półmiska; jak rozkosznie uwiodła go przemyślność jej łakomstwa, a także nieskazitelna uroda i swego rodzaju wspaniała świeżość, która upodabniała ją do zaledwie rozkwitłego w poszyciu leśnym kwiatu lub młodziutkiego grzybka albo też do rzadkiej ryby oglądanej przez szkło maski nurka; jak rozumiał, że ta młoda kobieta była ucieleśnieniem pożądania, którego w roztargnieniu i leniwie doznawał wobec wszystkich młodych kobiet, jakie znalazły się w zasięgu jego ramion, że była absolutną postacią tego wiecznego pożądania, mogącego znaleźć zaspokojenie wyłącznie w ciele kobiety, od której dzielił go najwyżej metr lub dwa, z którą jednak utrzymywał już pewną bliskość, porównywalną jedynie do tego, co znajdował w lustrze na wprost własnego odbicia; jak dowiedział się jej imienia, na którym piętrze mieszkała, gdzie znajdował się jej pokój, i jak wszedł przez okno (w taki zresztą sposób, jak większość mieszkańców pensjonatu), ażeby zaproponować jej, by oddała się jego gwałtownemu pożądaniu i pozwoliła się objąć pod jasnym nocnym niebem, przy dźwiękach gitar w rękach młodzieńców nie mających jeszcze pary; jak miał nadzieję, iż bez zbędnych komplikacji przystanie na propozycję, która dla współczesnych wędrowców podczas lata w rejonie Południa była w powszechnym użyciu i która nie powinna być przyczyną innej niespodzianki niż pojawienie się, pochlebne zresztą, jak sądził, pożądania równie namiętnego, jak te jego postacie, które pod wspólnym imieniem miłości natchnęły autorów najpiękniejszych poematów czasów przeszłych? Czy trwając w bezruchu pod prześcieradłem, które z jej rozciągniętego ciała czyniło najbardziej zmysłową leżącą statuetkę na nie istniejącej krypcie, Barbara Bara odparła, iż jego propozycję odczuła raczej jako nadzwyczajną niż niespodziewaną, i doznała podobnego pragnienia, by wyjść na spotkanie pragnieniu, tak jak usta zbliżają się ku własnemu odbiciu w lustrze i do niego przylegają, ale że była dziewicą, jakkolwiek mogło się to wydawać zaskakujące, i że pokój w Pensjonacie Minos, swego rodzaju bezpłatnym burdelu, jakim on go niemal określił, naprawdę nie był odpowiednim miejscem na złożenie siebie w ofierze, której szybkiego spełnienia pragnęła, tak, i której chciała się oddawać całą sobą, w myślach i w wyobraźni, co najmniej przez dwadzieścia cztery godziny? Czy dodała, że następna noc przyniesie pełnię księżyca i czas osiągnięcia wówczas pewną dojrzałość, odpowiednią dla żniwa krwi i rozkoszy? Co do miejsca, to czy młoda dziewczyna wybrała cmentarz, którego kredowy płaskowyż wznosił się wyraźnie nad Safarą, i czy powiedziała Lucowi Laonowi, zmieszanemu początkowo takim wyborem, że nigdzie indziej, tylko tam, pośród grobów dawnych mieszkańców Safary, jej ciało połączyłoby się z jego ciałem, przybierając wszystkie pozy, jakie byłyby mu miłe, i że w całym tego słowa znaczeniu byłaby mu bardziej bezwzględnie uległa niż odbicie przedmiotowi, który je wywołuje? Czy Luc Laon wysłuchał w końcu prośby Barbary Bara,

by tej nocy, której mieli się spotkać, ubrany był wyłącznie na biało, ażeby tym lepiej harmonizować z wyglądem dziewczyny, mającej włożyć suknię z białego jerseyu z przodem zawiązywanym wokół szyi, całkiem zaś odsłaniającą plecy i ramiona, suknię, która by zatem wykluczała jakikolwiek stanik i nawet slipy czyniła czymś niestosownym, tego rodzaju suknię, jaką miałyby nosić młode wariatki, dające znaki kierowcom w sosnowym lesie, w pobliżu wczasowisk, podczas wakacji, wieczorem, z nadzieją, iż zabiorą je trzej lub czterej nieznajomi, którzy rozwiążą podczas drogi węzeł i dotykać będą wszystkich nagich miejsc, nim zatrzymają się w drodze na skróty i skonsumują, niekiedy w nadmiarze, to, co być może było właśnie marzeniem rozwścieczonej niewinności? Czy gdy Barbara Bara już zamilkła, Luc Laon, nic nie mówiąc, patrzył jeszcze na nią długie minuty, czy potem wycofał się tą samą drogą, jaką przyszedł, nie wyciągnąwszy ręki ku spragnionemu ciału, które, niczym ciało zmarłej, stale trwało w bezruchu pod prześcieradłem?

Czy nazajutrz, po obiedzie zjedzonym przez oboje osobno w późnej porze, Luc Laon spotkał przy końcu białych podcieni głównej ulicy Barbarę, która, oprócz zapowiadanej sukni, miała tylko na stopach sandały z białej skóry? Czy on sam, zgodnie z życzeniem młodej dziewczyny, miał na sobie espadryle, spodnie i pulower z wykładanym kołnierzem z białej wełny, kostium umożliwiający mu udział w najbardziej eleganckim przyjęciu lata? Czy uśmiechnęli się ujrawszy, podobnie jak przed chwilą w jadalni, że ich ubiory odpowiadają wczorajszym życzeniom; czy podali sobie ręce; czy wyszli z miasteczka ścieżką pokrytą kredowym żwirem, która wiodła stromo ku wysoko położonemu cmentarzowi? Czy mnóstwo białych kotów, karmionych w okolicach miasteczka resztkami ryb i skutkiem takiej diety toczonych parchem, rozpierzchło się na prawo i lewo, pomiędzy rozrzucone na skraju drogi bloki kamienia wapiennego, który nazywano mlekiem gór? Czy nieco dalej uwagę ich przyciągnęło ujadanie odcinających się od nieba dzięki poświacie księżyca dwu białych chartów, groźnych niczym zwierzęta heraldyczne, świadczące, iż mają one tarczę herbową rasy dawnych zabójców? Czy z kredowej pustyni, tuż obok nich, z krzykiem, który mógłby się wydobywać z gardła duszonej kobiety, zerwała się do lotu biała sowa? Czy po około półgodzinnej wspinaczce w milczeniu, podczas której, mimo trudności drogi, zwiększanych jeszcze złudnym światłem satelity, stale trzymali się za ręce, dotarli wreszcie, zgodnie z żądaniem młodej dziewczyny, do celu wyprawy?

Czy przed cmentarzem Safary, który nie ma ani progu, ani bramy, jeśli nie okala go jakikolwiek mur czy też siatka, i jeśli, jak się wydaje, wylewa się on na wielki kredowy płaskowyż, rozległy niczym jezioro, na którym groby byłyby jak statki w niebezpieczeństwie, zawahali się, a potem zamarli w osłupieniu na widok niezwyklej pomników nagrobnych,

dwu tylko rodzajów, jedne przeznaczone dla mężczyzn, składały się z małych kolumn, nakrytych czymś w rodzaju czapki frygijskiej, drugie przeznaczone dla kobiet, przedstawiały sierp księżycy w nowiu albo rogi jakiejś boskiej jałówki, na szczycie bloku w kształcie głowy cukru, niższe niż trzony męskie, a wszystkie z białego kamienia wapiennego, materiału stosowanego we wszystkich budowlach miasteczka? Czy gdy minęło zdziwienie, młodzi ludzie, Luc prowadzony przez Barbarę, zaczęli się posuwać na chybił trafił, gdyż na cmentarzysku w Safarze, pośród kolumn zwieńczonych żółdzą lub dwurożnymi głowami cukru, nie ma wytyczonej żadnej drogi? Czy później, gdy już pochodzili trochę tu i tam, Luc zaczął podejrzewać, że jego towarzysza nie błędziła, tak jak on, i że skręty, jakie kazała mu robić między grupami nagrobków, pochylonych niczym pod naporem fal burzowych, w rzeczywistości prowadziły go ku odległemu jeszcze, lecz wyższemu i szerszemu niż inne pomnikowi, który odróżniał się od bieli otoczenia kolorytem bryły? Czy zbliżając się do owej rzeczy, młoda dziewczyna przyspieszyła kroku, sprawiając wrażenie, iż nie znajduje się w nieznanym sobie terenie, gdy tymczasem Luc potknął się raz czy dwa na szczątkach trzonów lub sierpów, ponieważ zamiast patrzeć pod nogi, patrzył na swą przewodniczkę? Czy był jeszcze bardziej zaskoczony niż za pierwszym razem, gdy spostrzegł, iż rzecz, ku której prowadziła go Barbara, była niczym innym, jak ogromną szafą z lustrem albo raczej pomnikiem w kształcie szafy z lustrem, której dwie tafle były rzeczywistymi lustrami, rama zaś, z orzecha lub z hebanu w przypadku mebla, wykonana była z czarnych bloków granitowych, które musiano sprowadzić z bardzo daleka, by wnieść je pośród grobowców? Czy pociągnięty za rękę przez swą towarzyszkę wspiał się dwa stopnie, które wyniosły ich oboje na podstawę wielkiej szafy, prostokątną platformę, którą stanowiło obszerne łóżko z bardzo białego, delikatnego i czystego piasku? Czy doszli oboje do stóp pomnika, ku któremu, od czasu, gdy opuścili miasteczko, zniżył się nieco księżyc; czy w podwójnym szkłe kontemplowali swe odbicie w zimnym świetle, jakie rzucała na nich planeta, również będąca lustrem na swej gwiazdnej drodze?

Czy na frontonie monumentalnej szafy widniał, składający się z posrebrzanych, rzymskich liter napis CI-GISENT (w języku rozległego kraju obejmującego Safarę), i ta wryta inskrypcja, nie zawierająca żadnego nazwiska, jak blade sęp unosiła się nad dwiema połyskującymi taflami, gdzie, niczym namalowane portrety, tkwiły w ramach odbicia Luca Laona i Barbary Bara? Czy on na jej odbicie, na jaśniejsze niż kiedykolwiek oczy, na bardziej połyskujące blond włosy, na bardziej brązową z powodu kontrastu skórę, na ciało bardziej wymodelowane przylegającą białą suknią; czy ona utkwiała wzrok w jego odbiciu, w zasepionej twarzy u szczytu białej sylwetki, w dumnych ustach i lśniących w półśmiechu

zębach, w jasnych oczach pod podwójną arkadą gęstych brwi, w czole zlewającym się z powodu opalenizny z kasztanem włosów przyciętych niemal na jeża. „Po hiszpańsku na szafę z lustrem mówi się szafa z księżycem”, czy właśnie to zdanie, wypowiedziane przez młodą dziewczynę, przerwało po raz pierwszy tego wieczora ciszę, skierowane, być może, do sił nocy albo do wszystkich niedawno lub w niepamiętnych czasach pogrzebanych safaryjczyków, a także do wydatnych uszu, które odbiciu jej towarzysza nadawały wygląd nieco brutalny? Czy wykonała potem gest, który położył kres długiemu bezruchowi odbicia dwojga ludzi i zniweczył złudzenie podwójnego portretu?

Czy z podnieceniem, które gwałtownie przyspieszyło krążenie krwi od serca do mózgu i brzucha, Luc Laon ujrzał, jak unosi się dłoń Barbary Bara, a palce, kciuk i wskazujący, wyciągają się w stronę węzła wstążki, który, zawiązany na karku, stanowił jedyne zaczepienie dla sukni, i jak szybko rozwiązana suknia spada od razu, pozostawiając w pełnej nagości piękną, żywą statwę, najpierw w pozycji pionowej, potem poziomej, gdy położywszy ją na piasku, mógł wysłać na poszukiwania swe palce i usta, zanim wniknął w nią swą sztywnością i rozlał się w wilgotnej szczelinie jej rozdartej intymności? Czy zadał sobie pytanie, na ile zdolny byłby zapanować nad sobą, by układać swe ciało i uległe mu ciało młodej dziewczyny w takich pozach, w jakich aż do końca mógłby oglądać w szafie z lustrem spektakl profanacji?

Czy zanim rozwiązane zostały wstążki podtrzymujące suknię, powiał nagle gwałtowny wiatr, skąd jednak przybyły w noc tak spokojną? Czy podwójne lustro obróciło się wokół własnej osi, jak kręczone drzwi, co zbiegło się z zamknięciem skrzydeł czarnego granitu? Czy ten ruch wiatrowskazu przeniósł odbicie pary, albo raczej rzeczywistą parę, prawdziwe postacie Luca Laona i Barbary Bara, do wnętrza grobowego gmachu? Czy pod jego dachem, który mógłby być z kryształu, skoro pozostawiał dostęp światłu księżyca, jak gdyby wielki grobowiec znajdował się na otwartym niebie, dwoje młodych ludzi stanęło u szczytu podwójnych kręconych schodów, i czy nie pozostało im nic innego, jak tylko zacząć schodzić równoległymi spiralami, oddzielonymi kratowaną balustradą, ponad którą nadal trzymali się za ręce, unosząc je jednak z powodu wysokiej rampy, sięgającej im niemal do ramion? Czy towarzyszyła im w drodze muzyka (niemiecka lub włoska z osiemnastego wieku) o równie problematycznym źródle, jak źródło niepożądanego wiatru; czy kierowała ich krokami za pośrednictwem kontrapunktu, którego stopnie mogłyby być nieskończone, tak jak schody, po których szli, i nie było powodu, by iść przestali?

Dokąd zejdzie podwójna helisa stworzona przez podwójne lustro szafy nagrobnej, i czy jest gdzieś kres tego rodzaju śruby, czy też będzie się ona ciągnąć dalej, aż przeniknie

ziemię? Otóż na skrzypiącym, małym, żelaznym łóżku w pokoju Pensjonatu Minos, w świetle wschodzącego już niemal w pełni księżyca, Luc Laon wbija brutalnie swą twardą pleć w delikatną i wilgotną pleć Barbary Bara, z której ciała zerwał siłą prześcieradło, a potem owinał i zacisnął mocno wokół głowy i ramion, by uniemożliwić krzyk i obronę, gdy tymczasem kołysanie łóżka, niemal w rytmie jakiejś gitary na zewnątrz, wstrząsa resztkami elektrycznego świecznika, który na białej posadzce podłogi dołączył do dzieła POŻYTECZNE ŁĄCZY SIĘ Z PRZYJEMNYM, otwartego na stronie tytułowej, która ukazuje imię Ojca Carlo Casalicchio, autora tego opasłego woluminu.

Wenecja, 20 sierpnia 1970